

Stanisław Michalkiewicz

Dobry ***„zły” liberalizm***



WYDAWNICTWO
von borowiecky

***Dobry
„zły” liberalizm***

*Mariuszowi Świtalskiemu,
który zachęcił mnie
do napisania
tej książki*

Stanisław Michalkiewicz

***Dobry
„zły” liberalizm***

WYDAWNICTWO *von borowski*
Radzymin 2012

© Copyright by Stanisław Michalkiewicz
© Copyright for this edition by Wydawnictwo von borowiecky,
Warszawa 2005

Wydanie I — Wydawnictwo *von borowiecky*, Warszawa 2005
Wydanie II — Wydawnictwo *von borowiecky*, Radzymin 2012

Na okładce wykorzystano rysunek autorstwa Arkadiusza Gacparskiego

WYDAWNICTWO von borowiecky
05–250 Radzymin
ul. Korczaka 9E
tel./fax (0–22) 631–43–93
tel. 0–501–102–977
www.vb.com.pl
e-mail: ksiegarnia@vb.com.pl

ISBN 978–83–60748–32–9

Skład i łamanie: WYDAWNICTWO *von borowiecky*
Druk: Sowa Sp. z o.o., ul. Hrubieszowska 6A, 01–209 Warszawa, tel. 022–431 81 32.

Przedmowa

Konfucjusz utrzymywał, że „Naprawę państwa należy rozpocząć od naprawy pojęć”. Zgodnie z tym Lewica, od 100 lat (tak — w 2005 obchodzimy setną rocznicę rewolucji 1905. roku, która przegrała na ulicach, ale zdobyła uczucia „inteligencji”) rządząca życiem umysłowym, psucie państw rozpoczęła od psucia pojęć. Zamiast „sprawiedliwości” pojawiła się „sprawiedliwość społeczna”, zamiast „d***kracji” (przepraszam — nie mogę pozbyć się obrzydzenia do tego słowa...) pojawiła się „d***kracja socjalistyczna”. Zamiast „nauki Kościoła” — „społeczna nauka Kościoła” itd. — robiąc ludziom w głowach masę zamieszania.

Słowo „liberalizm” było pierwszym. Zostało przez Lewicę nie tylko zniekształcone — ale po prostu ukradzione. Człowiek, który 150 lat temu nazywał się po angielsku *a liberal* dziś musi się określać jako *a Manchester liberal*, *a classical liberal*, czasem *a libertarian* — przy czym te dwa pierwsze określenia znane są tylko politologom, a z ostatnim wiążą się też dziwne postulaty, pod którymi klasyczny liberał by się nie podpisał. Powiedzenie o sobie w Ameryce *a liberal* oznacza ni mniej, ni więcej, tylko socjal-d***kratę (w USA „socjalista” to ktoś jak w Polsce członek PPS p. Piotra Ikonowicza!). Nic dziwnego, że Kościół tak rozumiany

„liberalizm” wykłął — i czasem od takiego „liberała” woli nawet klasycznego socjalistę — ten też niszczy gospodarkę, ale przynajmniej nie musi być zwolennikiem aborcji czy nazywania związku dwóch homosiów „małżeństwem”.

Liberał — jak sama nazwa wskazuje — powinien wierzyć w Wolność i bronić zasady „Chcącemu nie dzieje się krzywda”. Wydaje się to oczywiste: gdybyśmy nie mieli wolnej woli, to bez sensu byłyby kary i nagrody — z Sądem Ostatecznym na końcu. Tym niemniej ta podstawa greckiej filozofii, rzymskiego prawa i chrześcijańskiej cywilizacji jest dziś — od podstaw! — zakwestionowana! Na każdym kroku — czy będzie to próba jazdy samochodem bez pasów, czy odmowa zawarcia z państwem ubezpieczenia emerytalnego.

Wszędzie zamiast Wolności mamy dziś Przymus.

„Liberał” w sensie amerykańskim to niemal dokładna odwrotność klasycznego liberała. Wierzy w d***krację (klasyczny liberał był monarchistą — pragnącym, by Król chronił ludzi przed Tyranią Większości!), a zamiast Wolności odwołuje się do „wynałazku” Jerzego Wilhelma Fryderyka Hegla, czyli: „Wolności do...”. Jest to oczywisty absurd (wolnym jest się zawsze OD czegoś — od ucisku, na przykład) — ale Lewicowy „intelektualista” nie takich wygibasów dokonywać potrafi. Bez żenady mówi więc „Obywatel ma wolność do pobierania zasiłku dla bezrobotnych” czy: „...wolność do posiadania miejsca pracy” — cała tzw. „Karta Praw Człowieka” pełna jest tak gwarantowanych „Wolności”. Jest charakterystyczne, że pierwszą ustawą zaproponowaną w Sejmie (i przeprowadzoną) przez „Kongres Liberalno-Demokratyczny” był... NAKAZ jazdy samochodem w pasach (dający nam „Wolność od Wylatywania przez Przednią Szybę?”).

Oczywiście klasyczny liberał nie ma z tym NIC wspólnego. Przeciwnie: on powiada, że jeśli ktoś chce ryzyko-

wać swoim życiem, to ma do tego prawo — a jeśli Kowalski MUSI jakimś łańcuchem zapewnić minimum życiowe, to Kowalski staje się jego niewolnikiem, zmuszonym nań pracować (proszę zauważyć, że każdy niewolnik w Rzymie miał „prawo do pracy” zapewnione w 100% — czyli był „wolny do pracy” a nawet „wolny od bezrobocia”. Narodowo-socjalistyczne *Arbeit macht frei!* bardzo dobrze wpisuje się w całość myśli socjalistycznej. Państwo socjal-liberalne — to po prostu państwo niewolnicze. A ponieważ, jak wiemy z Historii, ustrój niewolniczy jest gospodarczo niewydajny, to trudno się dziwić obecnym trudnościom gospodarczym Europy — a i USA w porównaniu z Chinami (nie tylko Narodowymi — na Tajwanie — ale i Ludowymi) drepcą w miejscu. Bo właśnie w Azji jest obecnie więcej Wolności, niż w krajach Białego Człowieka, gdzie ludziom zamiast Wolności obiecuje się „bezpieczeństwo socjalne”. A mówił Mickiewicz: „...Lepszy na wolności kęsek lada jaki/ Niżli w niewoli przysmaki”; czy ta bajka o psie i wilku jeszcze jest w programie szkolnym, czy Lewica już ją usunęła?

Książka Stanisława Michalkiewicza ma unaocznić grozę sytuacji. Czytałem ją, myśląc; „O, Staszek po raz kolejny będzie tłumaczył rzeczy oczywiste”. Tymczasem zawiera ona sporo nowych, nieznanych do tej pory nawet mnie, argumentów i konstatacji. Na przykład w rozdziale II uwaga, że konserwatyzm może bardziej sprzyjać zmianom, niż „postępowość”, a „państwo neutralne światopoglądowo” to nonsens logiczny (to, że państwo powinno być neutralne światopoglądowo, to klasyczny światopogląd!). Albo powiązanie (r. XIV) zadłużenia III Rzeczypospolitej z ustawą o „ochronie ziemi”. Kapitalne!

Ale to trzeba po prostu przeczytać.

Przeczytać — i zrozumieć, że tu nie chodzi o rozważania akademickie. Chodzi o podstawę naszej cywilizacji. Kto usuwa zasadę *volenti non fit iniuria* — ten postawę tę niszczy..., a potem się dziwi, że budowla się wali.

Bo chyba jasno już widać, że się wali?

Jeśli nie — to proszę tę książeczkę przeczytać raz jeszcze!

Janusz Korwin-Mikke

Czy jesteśmy wolni?

Sądząc po lawinie oskarżeń spadających na liberalizm, jest on jedyną, a w każdym razie najważniejszą, przyczyną wszelkiego zła, z jakim mamy do czynienia, nie tylko w naszym kraju, poddanym torturom transformacji ustrojowej, ale we wszystkich innych krajach świata. Można by pomyśleć, że liberalizm, to po prostu jedno z wielu imion szatana. W tej sytuacji obrona liberalizmu wydaje się zajęciem desperackim, aby nie powiedzieć — daremnym. Ale mówi się — trudno. Z nawyku do obrony spraw sprawiających wrażenie przegranych, ale także z irytacji spowodowanej z jednej strony podszywaniem się pod liberalizm rozmaitych totalniaków, a z drugiej — naiwnym przeświadczeniem, że ci totalniacy są właśnie liberałami, postanowiłem podjąć się tego zadania, nie tyle polemizując z oskarżeniami, co próbując pokazać, czym liberalizm jest.

Liberalizm, którego nazwa pochodzi od słowa *libertas* oznaczającego wolność, jest ideologią polityczną, której treścią jest próba odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób ułożyć stosunki między człowiekiem i państwem, żeby z jednej strony państwo nie pożarło ludzkiej wolności, a z drugiej — żeby ludzka swawola nie rozsadziła państwa. Centralnym punktem liberalizmu, osią, wokół której ideologia ta się obraca,

jest tedy wolność. Czymże jest wolność? Jest to pewna właściwość człowieka, właściwość natury ludzkiej, polegająca na zdolności do świadomego wybierania. Warto zwrócić uwagę na naturalny, a nie zadekretowany charakter tej właściwości. Człowiek może wybierać nie dlatego, że jakaś władza przyznała mu taką możliwość, tylko dlatego, że możliwość ta stanowi immanentną cechę jego natury. Właściwość ta jest zatem również niezbywalna, co oznacza, że nikt nie jest w stanie pozbawić człowieka tej zdolności. Wolność jest więc pierwotna względem wszelkiej władzy, również państwa.

Wydawać by się mogło, że posiadania przez człowieka zdolności do świadomego wybierania nie trzeba specjalnie dowodzić, że „koń — jaki jest — każdy widzi”. Okazuje się jednak, że nie jest to oczywiste, przynajmniej dla niektórych. Są bowiem ludzie, którzy uważają, że człowiek w zasadzie pozbawiony jest takiej zdolności, a owa zdolność do świadomego wybierania jest tylko złudzeniem. Człowiek bowiem — powiadają — jest „ślepyim narzędziem przyrody”, chaotycznym kłębowiskiem sił, nad którymi nie tylko nie panuje, ale których istnienia i potęgi nawet sobie nie uświadamia. Jego postępowanie zatem nie jest wcale rezultatem żadnego „świadomego wyboru”, tylko przypadkowej i chwilowej przewagi jakiegoś nieuświadomionego popędu. Wolność jest zatem fikcją, której wymyślanie schlebiamy jedynie własnej próżności, a nie żadną „właściwością”, w dodatku jeszcze „naturalną”. Ten pogląd na człowieka, zwany niekiedy, nie wiedzieć czemu, „humanistycznym” w konsekwencji prowadzi do zdjecia wszelkiej odpowiedzialności. Odpowiedzialność bowiem może być jedynie konsekwencją wolności, czyli świadomego wyboru. Jeśli jednak nic takiego, jak świadomy wybór w przypadku człowieka miejsca mieć nie może, to znaczy, że nie można mu przypię-

sać również jakiegokolwiek odpowiedzialności. Nie tylko nie można, ale wszelkie próby jej przypisywania mają charakter jakiegoś małego okrucieństwa. Ta „humanistyczna” wizja człowieka, połączona ze zdjęciem odpowiedzialności za działania podjęte pod wpływem nieodpartego, instynktownego impulsu, tak bardzo się wielu ludziom spodobała, że skłonni są nawet uważać ją za drogę powrotną do Raju. Z tej wizji wzięła swój początek ideologia nazywana permissywyzmem (od łacińskiego *permissio* — przyzwolenie), pozornie do liberalizmu podobna. Pozornie — bo tam, gdzie liberalizm szanuje świadomy wybór człowieka, permissywyzm dopuszcza działanie pod wpływem popędu. Jest wszelako ważna różnica i to widoczna już na pierwszy rzut oka. Liberalizm powiada, że skoro człowiek jest wolny, to jest osobiście odpowiedzialny za swoje postępowanie. Permissywyzm — przeciwnie, ponieważ człowiek nie jest wolny, przeto nie może być też odpowiedzialny za cokolwiek. Dlatego też wszelkie ruchy abolicyjne, których celem jest stopniowe ograniczanie osobistej odpowiedzialności, aż do jej całkowitej eliminacji, wyrastają z ideologii permissywyzmu, chociaż — zarówno dla kamuflażu, jak i zdyskredytowania liberalizmu — chętnie nazywają się „liberalnymi”. Oczywiście nazwać można wszystko wedle uznania („otrul gościa kotletem, nazwał to kabaretem”), ale to jeszcze nie powód, by się na takie mistyfikacje nabierać.

Wspominam o tym również dlatego, że przeciwko liberalizmowi bardzo ostro występują również środowiska katolickie. Tymczasem chrześcijaństwo kładzie nacisk na wyjątkowość człowieka wśród pozostałych stworzeń twierdząc, iż został on stworzony „na obraz i podobieństwo Boże”. Cóż to może oznaczać? Z pewnością nie chodzi o żadne podobieństwo fizyczne, tylko o jakąś właściwość lub właściwości

natury duchowej. Jakież to mogą być właściwości? Czy aby nie takie, których istnienie możemy bez trudu zauważyć u siebie, a których posiadania nie wypadaloby odmówić Panu Bogu, już choćby przez grzeczność? Do takich właściwości należą z pewnością inteligencja i wolność. Odmawianie Panu Bogu czy to inteligencji, czy to wolności, byłoby w najwyższym stopniu nietaktowne. Skoro tedy te same właściwości postrzegamy u nas samych, to być może w nich właśnie przejawia się wspomniane podobieństwo? Czy w takiej sytuacji wypada nam demonstrować lekceważący, albo jeszcze gorzej — pogardliwy stosunek do wolności?

Nie wypada tym bardziej, że wszystko wskazuje na to, iż sam Pan Bóg przywiązuje do tej właściwości bardzo wielką wagę, wyposażając człowieka w wolność w zakresie właściwie nieograniczonym, czyli takim samym, jaka musi być Jego udziałem. Człowiek wybierając, może bowiem nawet odrzucić Boga, skazując się tym samym na wieczne potępienie. Dar wolności jest zatem, jak widzimy, tyleż samo wspałały, co dla człowieka niebezpieczny. A jednak Pan Bóg daru swego mimo to ani nie cofnął, ani nie zredukował, ograniczając swoją ingerencję jedynie do udzielenia życziwych wskazówek, w jaki sposób wybierać trafnie i unikać wyborów niewłaściwych. Wskazówki te, wbrew dość rozpowszechnionemu mniemaniu, wcale wolności ludzkiej nie ograniczają. Istnienie piątego przykazania wcale nie uniemożliwiło ludziom zabijania innych. W Osobie Chrystusa Pan Bóg posunął się nawet jeszcze krok dalej, w postaci sakramentów dostarczając środków korygowania błędnych wyborów już dokonanych. Ale przecież i sakramenty wolności ludzkiej nie ograniczają. Nadal jest ona nieograniczona, a istnienie Piekła, jako jednej z czterech rzeczy ostatecznych, jest wystarczającym dowodem, że dar wolności jest prawdziwy.

Wydaje się, że możemy domyślać się przyczyn, dla których Pan Bóg przywiązuje tak wielką wagę do daru wolności. Czyni tak „przez wzgląd na Swoje Imię”, czyli przez szacunek i do swego stworzenia i do Siebie. Jeśli mówi, że stwarza człowieka na Swój obraz i podobieństwo, to znaczy, że nie wyposaża go w namiastki Swoich właściwości, tylko w takie same, jakie są Jego udziałem. Ten szacunek dla stworzenia wypływa z szacunku do samego Siebie. Pan Bóg mógłby oczywiście wyposażyć człowieka w jakąś namiastkę wolności, dzięki czemu miałby on złudzenie swobodnego działania, ale tak naprawdę nie mógłby swego Stwórcy nie podziwiać, ani nie kochać. Mógłby — ale po co? Cóż wart byłby dla Boga podziw i miłość istoty, która nie może nie podziwiać i nie może nie kochać? Wartościowy jest dopiero podziw i miłość istoty, która może nie podziwiać, która może nie kochać — a mimo to podziwia, a mimo to — kocha. Inaczej mówiąc, z punktu widzenia człowieka, dopiero jego wolność jest warunkiem *sine qua non* oddawania chwały Bogu. Czyż w takiej sytuacji przystoi nam lekceważyć wolność, albo jeszcze gorzej — pogardzać nią?

O ile zatem negująca istnienie wolnej woli człowieka ideologia permissywizmu wydaje się w zasadniczy sposób sprzeczna z chrześcijaństwem, o tyle liberalizm, stawiający wolność człowieka w centrum swego zainteresowania, przynajmniej w tym zakresie z chrześcijaństwem sprzeczny nie jest. W ogóle warto podkreślić, że liberalizm nie jest ani żadną antyreligią, ani religią konkurencyjną, tylko — ideologia polityczną. Ideologie polityczne są zaś jedynie metodami osiągania celu w postaci społecznego dobrobytu, rozumianego z jednej strony jako obfitość materialna, a z drugiej — jako poczucie bezpieczeństwa. Liberalizm, stawiając wolność ludzką w centralnym punkcie swego zainte-

resowania przypomina, żeby nie ulegać ani pokusie obfitości kosztem uszczuplenia wolności, ani tym bardziej — pokusie bezpieczeństwa kosztem wolności. Z liberalnego punktu widzenia zakres wolności pozostaje więc zasadniczym kryterium oceny rozwiązań politycznych, ekonomicznych i społecznych; im większy zakres wolności uda się zachować, tym rozwiązanie jest lepsze. Im mniejszy — tym gorsze. Ideologia polityczna bowiem to wprawdzie metoda, ale nie tylko metoda. To także rodzaj aktu woli. Tak na pewno nie wiemy, czy rację ma chrześcijaństwo, głosząc wolną wolę człowieka, czy też „humaniści”, którzy tej właściwości konsekwentnie mu odmawiają. Jednak nie wiedząc, jak jest naprawdę, liberałowie są zdecydowani traktować człowieka tak, jak gdyby był wolny, ze wszystkimi tego konsekwencjami, i zgodnie z tą stałą i niezłomną wolą oceniać polityczne, gospodarcze i społeczne rozwiązania. Nie tylko oceniać — ale i proponować. Tym właśnie ocenom i propozycjom poświęcone będą kolejne szkice.

Demokratyczny, czy konserwatywny?

W liberalizmie współczesnym coraz wyraźniej zaznaczają się dwa nurty, coraz bardziej różniące się między sobą, a nazywające się: jeden — „demokratycznym”, a drugi — „konserwatywnym”. Żeby dobrze zrozumieć różnice dzielące obydwa nurty oraz ocenić jakość i charakter każdego z nich, niezbędne będzie omówienie podstawowych pojęć i kategorii. Zacznijmy od przymiotnika „demokratyczny”. Pochodzi on od rzeczownika „demokracja”, który w dosłownym tłumaczeniu z języka greckiego oznacza „władzę ludu”. Naprawdę jednak demokracja nie tyle oznacza jakąś władzę, co raczej metodę tworzenia struktury władzy w ustroju republikańskim.

Ustroje polityczne dzielą się bowiem na dwa typy: monarchiczny i republikański. Różnica między jednym a drugim polega na tym, że kto inny jest suwerenem w monarchii, a kto inny jest suwerenem w republice. Suwerenność z kolei oznacza nie tylko możliwość samodzielnego ustalania obowiązujących w określonym miejscu praw, ale również — a może nawet przede wszystkim — własnych kompetencji. Francuski polityk Jerzy Clemenceau nazywał suwerenność „kompetencją kompetencji”. Inne, potoczne, ale oddające istotę rzeczy określenie suwerenności głosi, iż

polega ona na tym, że na określonym terytorium władza nie toleruje władzy równej sobie.

Więc w monarchii suwerenem jest monarcha, a w republice — naród. Warto zwrócić uwagę, że w praktyce dość rzadko spotyka się takie jasne sytuacje. Dobrym przykładem komplikacji była Rzeczpospolita Obojga Narodów, czyli Polska przed rozbiorami. Jaki właściwie ustrój polityczny miało to państwo? Nazywało się „Rzeczpospolitą”, czyli w swojej nazwie nawiązywało bezpośrednio do rzymskiej *res publica*, co sugerowałoby posiadanie ustroju republikańskiego. Jednak Polska miała przecież króla, więc może jednak była monarchią, podobnie jak dzisiaj za monarchię uważana jest Wielka Brytania? Żeby przeciąć te wątpliwości zapytajmy wobec tego, kto w Rzeczypospolitej był suwerenem? Jak wiadomo, źródłem władzy polskiego króla był wybór w drodze elekcji *viritim*, czyli powszechnego głosowania obywateli mających prawa polityczne. Król zatem nie był suwerenem, ponieważ sam nie był źródłem własnej władzy. Jego władza pochodziła z decyzji ówczesnego narodu politycznego, czyli szlachty. Bardzo wyraźnie wyjaśnił to Henrykowi Walezemu szef delegacji polskiej, która przybyła poinformować go o wyborze na polskiego króla. Kiedy Henryk wahał się, czy zaprzysiąc warunki, na jakich miał sprawować władzę królewską w Polsce, zwane później „artykułami henrykowskimi”, szef delegacji polskiej powiedział mu: *si non iurabis, non regnabis* („jeśli nie przysięgniesz, nie będziesz panował”). To ostrzeżenie wyraźnie pokazuje, kto komu i na jakich warunkach powierza władzę (po chamsku można by powiedzieć, kto tu kogo i na jakich warunkach wynajmuje sobie na króla) i jaki ta władza ma zakres. Nie ma zatem wątpliwości, że ustrój polityczny Rzeczypospolitej był republikański, a król był rodzajem dożywotniego prezydenta.

Nawiasem mówiąc, Konstytucja 3 maja likwidowała w Polsce ustroj republikański, wprowadzając monarchię dziedziczną. Warto o tym pamiętać podczas rocznicowych uroczystości, kiedy wychwala się tę konstytucję także jako „zwycięstwo demokracji”. Tymczasem było akurat odwrotnie! Jedną z ustaw „okołokonstytucyjnych”, przyjęta przez Sejm Wielki, wyraźnie ograniczała demokrację polityczną w Polsce, pozbawiając praw politycznych, a konkretnie prawa głosowania na sejmikach (a więc wybierania posłów) tzw. szlachtę gołątę, czyli nie mogącą wylegitymować się posiadaniem majątku ziemskiego.

Innym charakterystycznym przykładem rozbieżności między „oficjalnym” a prawdziwym ustrojem politycznym państwa są, czy może były, Chiny. Kiedy przed laty zmarł tam Deng Siao Ping, który już od kilku lat przed śmiercią nie piastował żadnych stanowisk państwowych, ani nawet funkcji partyjnych, po jego śmierci agencje światowe doniosły z Pekinu, że rozgorzała tam walka o sukcesję po nim. Jaka sukcesja, skoro z punktu widzenia chińskiej konstytucji był on osobą najzupełniej prywatną? Ale agencje nie myliły się. Deng był osobą „prywatną” tylko dlatego, że konstytucja ChRL nie przewidywała stanowiska, które faktycznie zajmował, czyli stanowiska Cesarza Chin. Formalnie Chiny były republiką, nawet w dodatku „ludową”, ale chiński lud w oczach Denga miał tyle samo suwerenności, co i za cesarza Szy Huang Ti, uważanego za Syna Nieba. „Stąd dla żuka jest nauka”, jak powiada Brzechwa, by nie sugerować się za nadto oficjalnymi nazwami państw, a dla określenia prawdziwego ustroju politycznego zawsze badać, kto właściwie jest tam suwerenem.

Mamy zatem dwa zasadnicze ustroje polityczne: monarchie i republikę. W monarchii suwerenem jest król, więc to on określa i zakres swoich uprawnień, i sposób, w jaki do-

bierać sobie będzie współpracowników, czyli sposób tworzenia aparatu władzy. W republice sprawa jest bardziej skomplikowana, bo wiadomo, że „naród” nie może wykonywać jednocześnie wszystkich uprawnień wypływających z suwerenności ze względów już choćby technicznych. Zatem w ustroju republikańskim jedną z najważniejszych kwestii politycznych jest ustalenie sposobu tworzenia aparatu władzy. Jednym z takich sposobów jest demokracja.

Istota tego sposobu polega na przyjęciu założenia, że decyduje zdanie większości. Większość „narodu” postanawia tak a tak, więc takie postanowienie staje się obowiązującym wszystkich prawem. Jest to metoda równie dobra, jak każda inna, bo z równym powodzeniem można by wybrać prezydenta drogą, dajmy na to, losowania, albo posłużyć się metodą kooptacji. Wielu ludzi myśli, że demokracja jest nie tylko najlepszym z możliwych, ale w ogóle jedynym sposobem wyłaniania aparatu władzy. Warto w związku z tym zwrócić uwagę, że co najmniej od dwóch tysięcy lat istnieje w Europie struktura polityczna obecnie o statusie państwa, która nie jest demokratyczna, tylko posługuje się metodą kooptacji. Jest to Kościół katolicki. W Kościele katolickim członków stanu duchownego powołuje biskup poprzez akt wyświęcenia. Spośród członków stanu duchownego papież mianuje biskupów i kardynałów (kiedyś kardynałami zostawały również osoby świeckie, m.in. ojciec naszej królowej Marysieńki Sobieskiej, ale obecnie już się tego nie praktykuje). Następnie kardynałowie mianowani, tzn. dokooptowani przez jednego papieża, wybierają następnego papieża, który z kolei mianuje nowych biskupów, którzy wyświęcają nowych księży i tak dalej. Co prawda, przy samym wyborze papieża również w Kościele katolickim wykorzystywana jest zasada demokratyczna, ale poza tym jedynym momentem nie jest ona

tam używana. Przy tym wszystkim Kościół katolicki istnieje już ponad dwa tysiące lat i nadal się rozwija, co skłania do wniosku, że i stosowana tam metoda kooptacji musi mieć jakieś zalety, skoro przynosi tak dobre rezultaty.

Demokracja zatem jest metoda podejmowania decyzji opartą na każdorazowym przyznawaniu racji większości. Przy typowaniu osób na funkcje publiczne metoda demokratyczna nie budzi specjalnych zastrzeżeń, chociaż nie ma też specjalnych powodów, by uznawać ją za jedynie słuszną, skoro, jak widzimy, świetnie działa też metoda kooptacji. Natomiast w kwestiach innych, niż wyłanianie osób na funkcje publiczne, metoda demokratyczna może już budzić poważne zastrzeżenia. Skoro naród, czy lud jest suwerenem, a więc posiada kompetencję kompetencji, to w zasadzie nie ma przeszkód, by dowolnemu swemu pomysłowi nadał rangę obowiązującej zasady prawnej. Wyobraźmy sobie na przykład, że wszyscy posłowie w Sejmie urodzili się w latach parzystych. Po radośnym stwierdzeniu tego faktu jednomyślnie uchwalili ustawę o wyłączeniu obywateli urodzonych w latach nieparzystych i rozdzieleniu ich majątku między obywateli urodzonych w latach parzystych. Z punktu widzenia demokracji niczego tej ustawie zarzucić nie można, natomiast jest rzeczą raczej oczywistą, że taka ustawa zadawałaby gwałt obywatelom wyłączonej. W tym miejscu musimy przypomnieć, że liberalizm jest próbą odpowiedzi na pytanie, jak ułożyć stosunki między człowiekiem a państwem, żeby z jednej strony państwo nie pożarło ludzkiej wolności, a z drugiej strony — by ludzka swawola nie rozsadziła państwa. Musimy też przypomnieć, że liberalizm jest ideologią stawiającą wolność w centrum swego zainteresowania i oceniającą rozwiązania ustrojowe pod kątem ich skutków dla wolności: jeśli poszerzają zakres wolności, to w zasadzie dobrze, a jeśli go redukują, to w zasadzie źle.